

Projekt:	Cykl wspomnień. Prześladowanie Polaków w Związku Sowieckim
Nr wywiadu:	Wywiad nr 10. Opowiada Genowefa Michniewicz (ur. 1928 r.)
Sygnatura nagrania nowa:	701-152-002-010
Sygnatura nagrania stara:	IJP-701-152-002-010-001
Miejsce nagrania:	USA
Data nagrania:	27.09.1989
Czas nagrania:	65 minut
Język nagrania:	polski

Opis nagrania:

Dzieciństwo w Puszczy Nalibockiej - Opis rodziny - Moment wybuchu II wojny światowej oraz emocje towarzyszące temu wydarzeniu - Wkroczenie Sowietów 17 września 1939 roku - Opis zachowania Polaków po wkroczeniu Rosjan - Wspomnienia związane z uczęszczaniem do szkoły radzieckiej - Buntowniczość bohaterki nagrania - Opis wywózki na Sybir oraz okoliczności temu towarzyszące - Zachowania Rosjan wobec wysiedlanych - Dramatyczne rozstanie z babcią - Szybki pakunek najpotrzebniejszych rzeczy na podróż - Pobyt w Stołpcach - Pozostawienie najmłodszego brata w Polsce - Wyczekiwanie w Stołpcach na nowy transport i nadzieje temu towarzyszące - Pożegnanie zesłańców przez katolickiego księdza oraz siostry szarytki - Przyjazd do Wołogodzkiej Oblasti - Opis warunków transportu - Krótka charakterystyka osób zesłanych transportem na Sybir - Ulokowanie zesłańców w posiołku - Pierwsza praca - Trudności ze zdobyciem jedzenia - Opis „waluty” funkcjonującej w obozie - Refleksja na temat 400 gram chleba oraz kilka słów o najmłodszej siostrze Jadwidze - Beznadziejność funkcjonowania sowieckiej administracji obozowej - Krótki opis zajęć w szkole sowieckiej - Buntowniczość młodzieży polskiej wobec propagandy sowieckiej - Króciutkie wspomnienie o generale Sikorze - Opis nauki w szkole sowieckiej - Kwestia przyjęcia obywatelstwa sowieckiego przez Polaków - Opis choroby bohaterki nagrania: kurzej ślepoty oraz próby jej wyleczenia - Opis innych chorób - Życie religijne: nabożeństwa majowe w lesie w ukryciu oraz wykrycie ich przez komendanta obozu - Umieralność wspólnoty posiołka - Informacja o amnestii oraz opis panującego wzruszenia po jej ogłoszeniu - Ukrywanie się nauczycieli sowieckich przed polskimi dziećmi, po ogłoszeniu amnestii - Sytuacja z trzema oficerami sowieckimi - Opis podróży do Armii Polskiej - Choroba bohaterki nagrania na tyfus oraz jej pobyt w szpitalu - Rozpacz z powodu straty kontaktu z rodzicami oraz radość z przyjazdu ojca do szpitala - Dalsza droga do Armii Polskiej - Spóźnienie się na transport i konieczność powrotu w głąb Rosji - Wstąpienie do Junacek, troska o matkę oraz najmłodszą siostrę - Pobyt w Kitabo oraz Kartikami - Osłabienie zesłańców po tyfusie - Sytuacja z toaletami oraz studnią z trupami - Zakup winogron nad rzeką oraz kara wymierzona przez polskiego oficera - Spotkanie z Władysławem Andersem oraz rozkaz polskich wojskowych, aby zabierać z Rosji wszystkich, nawet tych, którzy są przewlekłe chorzy - Transport przez Morze Kaspijskie - Pobyt w Persji oraz pozytywny stosunek Persów do Polaków - Choroba najmłodszej siostry - Opis rozlokowania Polaków z Sybiru po całym świecie - Historia matki i śmierć najmłodszej siostry - Pisemko „My” redagowane przez osoby związane z Isfahanem - Odszukanie grobu brata koleżanki oraz stosunek Persów do polskich cmentarzy - Tragiczno-zabawna sytuacja z pobytu w Rosji - Ciekawostka związana z mundurami Junaków - Tragiczna sytuacja z Taszkientu oraz transportem z udziałem bohaterki nagrania - Ccena wydarzeń, które spotkały bohaterkę z perspektywy 50 lat - Opis szkoły polskiej w Isfahanie - Opis życia w Persji - Wyjazd do Libanu - Sytuacja finansowa rodziny - Dalsza podróż - Przyjazd do Anglii w 1947 roku - Historia wojenna brata bohaterki nagrania - Krótki opis życia po 1947 roku - Pobyt w Anglii po wojnie - Wyjazd do Stanów Zjednoczonych.

Transkrypcja nagrania:

Genowefa Michniewicz: Genowefa "Gena" Michniewicz z domu jestem Dubicka. Urodzona jestem w Puszczy Nalibockiej, województwo nowogrodzkie.

Prowadzący wywiad: Akcent jest, słyhać.

G.M: Jak powiedziałam nowogrodzkie, to musi być akcent zaraz.

Nie. Nie no jest, to wie Pani zostaje. Jak Pani może, w kilku słowach opowie swój życiorys do 1 września?

Wiec tatuś był gajowym. Powodziło się nam średnio. Byliśmy przerzucani, mówię właściwie w Puszczy Nalibockiej dlatego, że z gajówki na gajówkę. Przedostatnia gajówka była bardzo ładna, miejscowość Kleciszcz, gdzie na polowania rokrocznie przyjeżdżał hrabia Tyszkiewicz, ze swoją rodziną i żona i uczęszczałam do szkoły w Nalibokach. Skończyłam sześć klas, kiedy właśnie wybuchała wojna.

Jak Pani pamięta?

Bardzo słabo pamiętam. Był to piątek. Prawda radio powiadomiło nas, ale dziecko 11,12 latnie to tam nie zdawało. Dzieci nie mają strachu, ani obawy specjalnie, ani też nie myślą o przyszłości, jaka może ich spotkać, także owszem była podniecita, trochę łzy, trochę jakiś żal do kogoś, nieuzasadniony. No i na tym się skończyło. My wojny nie zaznali. Ja nawet nie jestem pewna, czy 17 września, były to samoloty niemieckie rano, przed mszą świętą, czy już były to sowieckie. Mówili to niektórzy, że to właśnie były samoloty jeszcze niemieckie, ale były samoloty nad naszym terenem nad Nalibokami. Zaraz po obiedzie weszli Sowietci.

Zanim wjedziemy. Sądzę, że to była bardzo mała miejscowość, przecież w puszczy. Przecież nie było chyba problemów z żywnością, z zaopatrzeniem.

Podczas wojny?

Tak

Nie. Nie, ja nie powiedziałabym, że byłyby kłopoty z żywnością czy zaopatrzeniem. Nie, dlatego, że bardzo dużo było rolników, wszyscy przeważnie mieli swoje własne ogrody, ziemie, także, nie odczuło się jeszcze żadnego głodu.

Jak pani wspomina 17 września?

17 wrzesień, tak jak powiedziałam, zaznaczyłam już na początku, że zaraz, na drugi dzień, niektórzy ludzie dla ulepszenia i ułatwienia sobie życia, więc pozakładali sobie opaski czerwone i witali Sowietów z kwiatami. I poza tym nie wiem, dlaczego oni nam przynosili sól. Sól. Tak dużo było mowy na temat soli, jak Rosjanie wkraczali do Polski. Tak jakby w Polsce brakowało soli.

Czy tych, o których Pani mówi, że zakładali opaskę, to byli znajomi Pani? Czy Pani rodziców?

Tak, mojego ojca tak. Wie Pan, jaka nacja zakładała opaski przeważnie? I zresztą Polacy też się zachowali w późniejszym terminie jak słyszałam z opowiadania, bardzo, bardzo nieprzyjemnie.

To znaczy jak?

Po prostu nastąpiło takie bezprawie, brak było dyscypliny, milicji, policji i robili co sobie chcieli. Nawet o takich rzeczach słyszałam, że zganiano Żydówki do jednych pokoi i robili z nimi co się podobało. I nawet byli goście tu w Ameryce ci, ani jeden, ani drugi już nie żyje. I żonaci byli z moja daleką, nie taka daleką ciotką. Jeden z tych był mężem mojej ciotki. Ale z kolei, bardzo straszne rzeczy opowiadano, torturowano ich, bito i ...

Kto kogo?

Właśnie Polacy bili Żydów. Trzeba powiedzieć tak jak było, nie ma co kryć.

Tak oczywiście. Po wkroczeniu Rosjan, po 17 września jak się toczyły losy rodziny Pani. Dało się odczuć Rosjan?

Tak, dało się trochę odczuć, ale raczej było wszystko spokojnie i każdy oczekiwał co będzie dalej. Ja natomiast już od najmłodszych lat to miałam w sobie jakąś taką żyłkę buntowniczą. Więcej, już takie różne rzeczy, nie pamiętam co ja dokładnie mówiłam na Boże Narodzenie, kiedy choinka została przybrana dla nas w szkole i tak dalej. I zaczął tłumaczyć jak to nie mógł nas zgnębić z miejsca dzieci, to tak łagodnie podchodził do tego spraw. I powiedział, że jak Chrystus Pan się narodził, jak Niemiec, niedźwiedź nie miał co przynieść panu Jezusowi w prezencie, dosłownie, więc umoczył choinkę, jodłę, umoczył w wodzie, zamarzała i przyozdobiona taka choinkę przyniósł Panu Jezusowi na prezent. Hmm ... ale ja coś tam musiałam dalej ciągnąć dlatego, wypytywał się, kto ci to powiedział. Jak twój się nazywa. Ja nie przyznawałam się, nic nie powiedziałam, Śmiałam się z tego tylko, ale już musiałam tam jakieś niecenzuralne pytania zadawać, że się im nie bardzo podobało. Zresztą to będzie w późniejszym terminie to samo ze mną.

Tak. Proszę pani czy Rosjanie wprowadzili jakieś rejestracje ludności, czy przychodzili do domów?

Nie, nie, nie. Tego nie pamiętam, a jak przyszli to przyszli.

A do samych Naliboków, czy było tam powiedzmy jakiś milicjant rosyjski, czy jakaś kwatera partyjna?

Raczej było obstawione. Wszystkie urzędy były obstawione naszymi ludźmi z Nalibok.

Teraz może pani opisz dlaczego przyszli, co Pani o tym sady?

Sowieci, znaczy się kiedy przyszli?

Kiedy przyszli do Państwa do domu?

Przyszli do nas 10 lutego. 10 lutego przyszli o godzinie 5 rano. Mojego brata nie było w domu, bo wyjechał do stryjska za Niemien, do Lubcza - Iwieniec - Lubcz. Tam wyjechał, dlatego tatusia podstawili pod ścianę i nie wolno było mu się ruszać. I nie przyznawał się do tego, chociaż sprowadzili kilka razy, że liczbowo się zgadzamy. Ja natomiast też nie byłam w domu, ale moja babcia powiadomiła mnie, że nas wywożą, zabierają rodzinę i ja doleciałam do domu na czas. Że jeszcze nie zabrali wszyscy. Kazali nam zabrać 50 kilo, „*wybierajcie co chcecie*”, odzież, żywność, a innych wam nic nie potrzeba. Dlatego, że u nas wszystkiego jest w bród, dlatego nie musicie nic zabierać i tak się prawie stało.

Jak długo trwało? Czy rewidowali coś?

Rewidowali, szukali broni i tak dalej w domu i ta przeprawa i ta przeprawa trwała jakieś cztery godziny

Ilu było tych NKWD-stów?

Nie pamiętam, może dwóch?

Czy pani mama lub ojciec była osadnikami?

Nie, tatuś był tylko gajowym. I za to, że tatuś był gajowym to nas wywieziono do Rosji.

Jakie było zachowanie NKWD ...?

Brutalne.

Czym to się objawiało?

Brutalne. Chociaż by to, że tatusia popchnęli, podstawili pod ścianę i w ogóle nie pozwolili jemu z nami, korespondować, porozumiewać się absolutnie. Do nas też. Do dzieci, nie można powiedzieć, że byli tacy niesforni. Ale do dorosłych tak.

Co państwo wzięli?

Wzięliśmy raczej ubrania. Wzięliśmy trochę jedzenia no i zawieźli nas do Stołpc. Ten widok, straszny był widok dla mnie, młodej dziewczynki jak moja babcia doleciała pieszo z tego zaścianku, gdzie ja byłam. Babcia mnie powiadamiała i ja szybciej przyleciałam do domu, a babcia za mną. I przez całą drogę, do gminy, babcia biegła za sankami i strasznie płakała i padała tylko w śnieg. Podnosiła się i dalej, i dalej aż odprowadziła nas na gminę, gdzie była przypuszczalnie jakaś rejestracja tych transportów wszystkich, bo tam było więcej już osób i zawieźli nas do Stołpc, to jest stacja nad granicą sowiecką, 52 kilometry od granicy sowieckiej i staliśmy tam dosłownie cały tydzień, w zimnych okropnych wagonach. Obskurne to były wagony, wszystko załadowano razem. Był taki pan, oj Zarzycki - o nazwisko mi się przypomniało - z nami razem i w tym szereg innych gości. Już nie przypominam nazwisk, ale było nas w tym wagonie około 30 osób.

A teraz czy, to powiedziała pani już, powiedziała pani 30 osób. Jak długo, ile było wagonów na tej stacji. Czy pani pamięta powiedzmy wzrokowo?

Nie pamiętam, ale można powiedzieć dwanaście.

Czy ludzi przybywało?

Ludzie jak nas obsadzono, to już nie przebywało, do tego samo. To już dalej odpowiednią liczbę mieli już na samym początku zamknęli drzwi i tylko na zawołanie, ale też chodzili ci żołnierze w lewo i w prawo, nie wypuszczali nikogo. Chyba jak się mocno stukało, w nagłej potrzebie, to wtedy by otworzyli drzwi.

Kto z Pani z rodziny był?

To był mój tatuś, moja mama, dwie moje siostry. Brat natomiast został. Doszukiwano się, ale nie doszukali się. Tatuś nie przyznał się, podszeptał: „*Kto wie co z nami zrobią? Może nas wszystkich wymordują? Wtedy on zostanie z tym nazwiskiem Dubickim*”.

Czy zna pani losy swojego brata?

Tak, przejdziemy do tego troszeczkę później może. Wtedy jesteśmy w Stołpcach. Po tygodniu okazało się, że wagony były przymarznione do szyn i nie mogli ruszyć. Aż podstawili drugą lokomotywę i myśmy myśleliśmy, odwiedzali nas tam nasi krewni, przywozili nam żywność. Nam nic nie dawano, Rosjanie nam nic nie dawali. W końcu podstawili nam drugą lokomotywę. Plotki chodziły i różne takie nadzieje, że wrócą nas do domu. Może w ogóle nas nie będą ruszać i nas wrócą do domu. No niestety tak nie było. Podstawili drugą lokomotywę, to znaczy było około 16 lutego i ruszyliśmy w stronę granicy sowieckiej. I był dla mnie bardzo rozcudzający widok. Nawet jako młodej dziewczynki, kiedy ruszył zaczęliśmy śpiewać „*Pod naszą obronę*” i przejeżdżaliśmy obok klasztoru sióstr szarytek i ksiądz krzyżem nas zegnał ten transport. I szarytki wszystkie uklęknęły i się modliły za nas i tak dojechaliśmy 2 tygodnie później do Wołogodzkiej Oblasti, Żarowski posiołek.

Jaka to jest cześć Rosji, południe Rosji?

To niedaleko Archangielska, wołogodzka Oblasti, i niedaleko Wozygi, to było najbliższe miasto, a ten posiołek nazywał się żarowski posiołek.

Jakie warunki były w czasie transportu?

Straszne. Bardzo złe warunki, powtarzam się jak Stefciu mówił, że w ogóle nie było żadnych środków higienicznych. Absolutnie. Tylko zatrzymywano raz na osiem godzin i wszyscy musieli wyskakiwać za własną potrzebą pod wagony, niektórzy nawet zostawali, były wypadki, że na szynach zostali, przejechał pociąg i już.

Jak z żywnością?

Bardzo źle, bardzo mało dawano nam jeść. Wszyscy się starali ludzie sami, z tych zapasów i z tego co nam przywieźli dziadkowie do Stołpc. Tam chyba to nic nam nie dawano przez drogę. A jeśli dawano, to bardzo mało.

Czy dawali tak zwany kipiatak czyli ciepło?

To znaczy kipiatak, to może nawet było, bo tam piecyk był w środku to można było samemu gotować kipiatak.

Dobrze, czyli samo już dotarcie. Acha, jeszcze jedno czy gdy pani wyszła, gdy rodzice pani wyszli czy znajomego kogoś znaleźliście, również z innych wagonów? Również jeszcze przed wojną, czy ktoś był znajomy z tego?

Potem dopiero się na posiołku okazało się, że rodzice mieli więcej znajomych, ale jak nie mieli to się poznajomili i bardzo dobrze i serdecznie razem żyli razem. Dużo było na posiołku samym, bardzo dużo osadniczek z Nieświeża. To najbliższe chyba było miejsce, osada Pozniewicze. Ni stad, nie z owąd. Ja przecież tam nie byłam, Pozniewicze przysłała to osada, z której jutro przyjeżdża do mnie koleżanka z tamtej osady, a z którą byłam razem na posiołku. Marysia Kwiaton i okazało się, że stosunkowo mało było mężczyzn, najwięcej to było kobiet z dziećmi. I to liczne, po 7-8 dzieci. Bardzo mało tych dzieci przeżyło tą gehenną wojenną, znaczy łagrów, obozów, tym właśnie na posiołku.

Może kilka słów o posiołku? jaka praca była?

Przywieźli nas tam, rzucili prawie na śnieg, a jeśli nie na śnieg, to dano bardzo wiele rodzin, po dwie trzy, rodziny, mężczyźni i kobiety, do jednego pokoju. I tak przez duszy czas byliśmy z innymi. I zaczęły się niesnaski. Zaczęły się nieporozumienia, to wtedy rozdzielano trochę. Bardzo to było zagęszczone, baraki w tym jednym pokoju, była jedna rodzina, druga rodzina, trzecia rodzina, środkiem był korytarz i tak się mieszało. I tak powiedzieli: „*tutaj jest wasza ojczyzna, tutaj jest wasz dom i starajcie sobie jakoś udogodnić i ulepszyć życie*”. Tatuś piłował deski, pracował przez cały czas na pile. Mama chodziła też gałęzie palić i chodziła ukradkiem do obozów, tak aby nikt nie widział i przynosiła na plecach po 16 kilogramów ziemniaków i cebuli, ażeby łatwo było przeżyć tą straszną wojenną gehennę. Wtedy mamę złapano i posadzili do wwiezienia. Wtedy ja zaczęłam, ponieważ byłam małoletnia. To nawet, gdyby mnie złapano, to mnie też nic by nie zrobili i dosłownie byłam, po kolanach szłam w błocie i wodzie. Póki doszłam z tego posiołku do najbliższej, do najbliższej wioski. A z kolei wioski nie były takie bliskie. Było po 10 kilometrów, czasami po 7 kilometrów, moja siostra zabierałam ze sobą. To tachaliśmy ze sobą po 16 kilo ziemniaków i cebuli z powrotem, ażeby trochę przeżyć.

No tak, ale w wiosce też Wam nie dali jeść.

Nie dali za pieniądze, a zawsze musieliśmy coś zanieść i wymienić. Czy to serwetę, pościel. Tylko na to. Bo pieniądze nie były ważne, nie istniały w tym czasie. Bardzo mało płacono tatusiowi za jego pracę, a mama to więcej była w domu. Ale latem to chodziła też palić gałęzie i wypędzano też na ścinanie drzewa w lesie, jak to się nazywało. Wszystko jedno, bo te biedne osadniczki, to *lasoroby*, o *lasoroby*. To te osadniczki biedne chodziły, zawijały sobie szmatami nogi i chodziły codziennie, bo musiały. Inaczej by dzieci nic nie dostały, tego chleba by nie dostały nawet, gdzie czterysta gramów chleba dawano na osobę. Wydawało się, że to bardzo dużo, gdy ma się ziemniaki, mięso i tak dalej. To gdzie tam, tak dużo chleba. Nieprawda jęli się tylko ma się chleb i te 400 gramów. Zanim się przyszło z tej ławeczki z tego sklepu do domu, to się zjadło, te 400 gramów chleba. Raz a dobrze i już. I najgorzej to było z moja siostrą małą, która miała 5 lat. Ona mleka nie dostawała przez nas pobyt na posiołku i mama ją wysłała ponieważ sklepowym był Ukrainiec z poprzedniej fali zesłańców. On był litościwy, niewielu zostało. Im było gorzej niż nam, ich rzucono prosto w śnieg z rodzinami. Bardzo mało prawda to, przetrzymało ich, więc on był jednym z tych. I on jak zostawał trochę chleb, nie wiem z jakiego to powodu, bo tak obliczali wszystko, to się wszystko tej naszej Jadzi, dało trochę chleba ekstra, to ona szła pomaleńku. To my wiemy, że jak idzie pomaleńku, to ona chleb zajada i dostała coś. A jak leciała z płaczem do domu szybko, to znaczy, że nic nie dostała. Nic dostała i z niczym wraca. Dostarczano nam w ten sposób, że latem, krótko stosunkowo to było, to dostawałam te tzw. walonki, wtedy ludzie szli latem, w środku lata kupować. Podrzucili walonki te. Zimą kolei coś letniego. Takie bez ładu, bez myśli żadnej. Bez organizacji żadnej, nic. Tego stosunkowo było bardzo mało. Bardzo mało. Te zapasy co się jeszcze miało, to się korzystało z tego. No i co takiego ważnego muszę jeszcze w tym wypadku powiedzieć? Pewnego dnia, a do szkoły chodziłam też, doskonale władałam językiem rosyjskim. Pisałam, czytałam, ale wtedy bardzo dobrze. Latem paliliśmy gałęzie. A w zimę, znaczy się rok szkolny, normalnie trzeba było chodzić do szkoły. I też w nas taka żyłka patriotyzmu, buntu młodzieżowego powstała i zaczęliśmy na tablicy pisać różne swego rodzaju wypowiedzi, że nasza porcja składa się z 400 gram chleba, że chcemy wraca do Polski do swojego kraju. Co oni robią z nami tutaj. Cały taki wywód na ogromnej tablicy. I to zobaczył komendant, wezwali komendanta. A ja jeszcze podeszłam, jeszcze Błaszczyk taki był, zrobił ramki naokoło tego. Ja jeszcze podeszłam i napisałam, "*eta prawienna*" - czyli zgadza się. Za to, to dopiero mieliśmy urwanie głowy. Wzywani byli rodzice, nikt się tak nie bardzo przyznał do tego, kto to zrobił. Tylko się jeden Adamski Stefan, który jest teraz w Południowej Afryce, milioner, wielki milioner i on się zdradził. Tak się zdenerwował, bo on najwięcej pisał, że czyszcząc szkłem ławkę w klasie, przetrzęła sobie rękę. To już nerwy tego. To jego wypytywano najwięcej. Ale cóż, ojca nie było, matka sama była. Zakończyło się. Zakończyło się zasadniczo niczym, nic nikomu nie zrobili, bo nikt nikogo nie

wydał. A przecież nas bić czy torturować nie będą, jak to innych dorosłych ludzi. Wiec przeszło. Wiec ciągle nam powtarzano: „*tutaj wasza ojczyzna, tutaj wasz dom i urządzajcie się jak najlepiej*”. Nauczyciele nasi, którzy nas uczyli w szkole i potem przychodzi tzw. amnestia

Chwileczkę, jeszcze momencik. Powiedziała pani, że było to, byli torturowani dorośli. Czy zetknęła się pani z tym?

Tylko byli i już ich nie było. Wiec nie wiem co z tymi ludźmi było. Był generał, jak sobie przypominam generał Sikora. Stefciu, był taki generał Sikora? Staruszek siwy, pamiętam jak dziś, był z nami. Uczęszczał na jakieś spacer, chodził i już go nie było. Wszyscy oszołomieni, dlaczego go nie ma, gdzie on jest? Chyba w Katyniu zginął też z innymi.

Lub gdzie indziej, po prostu ludzie ginęli? Jak dużo osób było w tym posiołku?

Powiedzmy dwieście osób, może więcej dwieście pięćdziesiąt. Przeważnie Nowogródek. Właściwie wszyscy z nowogrodzkiego byli. Chyba, że przez jakiś przypadek, że ktoś był z wizyta u osadników. Powiedzmy z Warszawy czy tego. Tego też zabrali, tam się nie patyczkowali z tym. Tez jego zabrali, ale tak to przeważnie Nowogródek. Z nowogrodzkiego wszyscy byli.

To była pani dosyć długo. Była tam szkoła?

Tak. Szkoła była i uczono nas nawet akrobaczych takich występów i śpiewu i języka rosyjskiego, kultury, literatury. Także, że chodziłam, ale niedługo, bo tylko jeden rok ta szkoła trwała. Bo jak nas przywieźli w lutym, bo już następny wrzesień, to było dla nas łaskawszy i nie musieliśmy tak uczęszczać.

Czy ktoś z tych osób przyjął obywatelstwo sowieckie?

A broń Boże. Broń Boże

Pani od razu prawda.

Nikt. Żadna osoba nie przyjęła obywatelstwa sowieckiego.

Jak pani mówi amnestia, jak dowiedzieliście się o tym?

Potem miałam jeszcze kurza ślepotę. Pan wie co to?

Oczywiście. Proszę powiedzcie, jakie przyczyny?

Kurza ślepotę. Ni stad, ni z owad, taki gość z Warszawy, on był żonaty z babeczką, która z nowogrodzkiego. I on tak idzie i tak w baraku szuka wejścia, a ja się śmieję. Jak to młodzież naiwna. Śmieje się, a on mówi: „*Poczekaj, poczekaj, Ty też będziesz miała to samo, ty się przestań śmiać*”. I rzeczywiście, nie upłynęło, Bóg mnie ukarał i za tydzień ja to samo robiłam, macałam. I pani Ostrowska, świętej pamięci, wyleczyła mnie tranem. Tylko dwie, trzy łyżeczki tranu dała mi.

Ale skąd tran?

Ona pracowała jako siostra sanitarna. Pielęgniarka, ponieważ ona była z Polski pielęgniarką. To ją umieszczono na tej izolacji tam i pracowała jako siostra sanitarna i dlatego miała dostęp do tego. Miała dostęp, a ponieważ myśmy się dość przyjaźniliśmy z nią, z ojcem, znaczy mojej koleżanki

Zosi. Bo Zosia (pani Ostrowskiej córka) uczęszcza ze mną do jednej klasy. Wiec ona powiedziała i jakoś mnie z tego wyleczyła, z tego.

Jakie inne choroby były?

Jeśli chodzi poza samym przeziębieniem, to żadnych innych chorób nie było. Dlatego, że klimat był bardzo dogodny i zimny. Tak jak zaznaczyłem przedtem i raczej nie było chorób. Przeziębiali się, bo nie było co ubrać prawda, nie było ciepłego ubrania, butów, z tego powodu. Ale tak to, chorób zakazanych nie przypominam sobie.

Teraz czy istniało jakieś życie religijne?

Nie było żadnego życia religijnego, ale z kolei znowu ja namawiałam młodzież i wszyscy szliśmy do lasu. W miesiącu maju, zrobiliśmy ołtarzyk i chodziliśmy co wieczoru modlić do tego ołtarzyka, do Matki Boskiej. Aż nas przyłapał komendant i nas wtedy zbił, naprawdę zbił. I już my zaniechali przez jakiś czas, ale były nawroty do tego, wszystko jedno. U pani Sosnowskiej - wracają mi nazwiska, ni stad, ni zowąd. Tak w rogu, Sosnowscy mieli swój pokój, to u nich się zbierano na różaniec, to pamiętam, też to samo było, że komendant wszedł do środka i rozpedził wszystkich, nie pozwoli się modlić absolutnie.

Czy duża umieralność była ludzi?

Na posiołku nie. Zostawiliśmy ze sobą, z 250 osób było. Młoda byłam, nie pamiętam tych faktów za dużo i nie mogę powiedzieć. Zostawiliśmy po sobie cztery, może pięć grobów, to wszystko. Pierwszy to zaraz umarł chłopczyk takiej pani na samym początku. Tylko jeszcze nie zagrzailiśmy miejsca, a już był pogrzeb tego chłopca, widocznie przyjechał z Polski już chory. A tak poza tym nie przypominam sobie. Jeśli powiem cztery groby, to maksimum.

Jak Pastwo dowiedzieli się o tzw. amnestii??

Więc ci sami ludzie, nie powiem, tak moralnie torturowali, ci sami ludzie, komendant oraz podkomendant kazali nam się zebrać do szkoły, w tej samej sali, w której ta tablica była i do tej samej sali i powiedzieli nam, że my jesteśmy wolni, że możemy iść, gdzie nam się tylko żywo podoba. Tu nic nie było słyhać poza szlochem. A właśnie jak ten Zarzycki, leśniczy, zaczął pieśń „*Boże coś Polskę*”. mało kto śpiewał, straszny był szloch, straszny płacz. Płacz ostatecznie radości, ale chowali się wszyscy nasi nauczyciele, którzy nam ciągle wbijali do głowy, że tutaj jest wasza ojczyzna.

Czy to byli Polacy?

Nie, Rosjanie. To ci sami chowali się za stodoły, za baraki aby się z nami nie spotkać, bo my byliśmy bardzo mściwe. I właśnie ci sami, musieli nam powiedzieć, że możemy jechać gdzie my chcemy. Wyjechaliśmy zaraz do kołchozu. Tam mama pracowała, kopła ziemniaki. Pomagałam trochę i wybuch wojny niemiecko-sowieckiej. Na trzeci dzień, tego nie zapomnę. To znowu śmiałam się z nich w kulak. Na trzecie dzień wojny, przystojni oficerowie, piękni chłopcy, trzej, przyszedli do nas, do naszego pokoju, gdzie my mieszkaliśmy i kazali gotować zamrożone ziemniaki. A ja się w kulak śmiałam strasznie. A ja wtedy wyszłam i powiedziałam po rosyjsku dobitnie: „*Co wy będziecie robić w trzecim miesiącu wojny? Skoro już w trzecim dniu wojny już jecie zmarznięte ziemniaki*”. I to fakt! No, ale my tam długo nie byliśmy. Zaraz tatuś wstępuje do Wojska Polskiego, zapisuje się i nasz wyjazd, ciężki wyjazd.

No właśnie. Rosjanie co prawda powiedzieli, że jesteście wolnymi, ale to nie znaczy, że

wsiadacie w jakikolwiek tramwaj, autobus, kolej i dojeżdżacie. Jak dostaliście papiery, że jesteście wolnymi ludźmi? Pieniądze i tak dalej?

Żadne pieniądze. Trzeba było wszystko samemu, no i może była jakaś ulga, skoro się wstępowało do Armii Polskiej. Przypuszczalnie tak. Tatuś to wszystko załatwił - „*Zabieram wszystkich ze sobą i jedziemy*”. I jedziemy na południe Rosji, do Uzbekistanu. I tatuś w Guzarze, Guzarze, tatuś wstąpił. Tatuś nas zostawił i wstąpił do wojska, a myśmy zostaliśmy z mama i tatuś wyjechał pierwszy za granicę.

No tak, ale jeszcze chwileczkę, bo pani mówi, że zostawił. Jak transport, jak ta droga się odbyła?

To już mało co pamiętam. Ale wiem, że było nam bardzo ciężko. Długa to była ta droga, bardzo długa i tak też jak się zatrzymał ten pociąg, to zaraz wybiegaliśmy, aby coś kupić. Trochę żywności, żeby coś sobie zrobić. Prawda napić się kawy, herbaty. I tatuś starał się jak mógł. Przewiózł nas wszystkich na południe, szczęśliwie. Dopiero w Kiermineje, jak pierwsza zachorował na tyfus.

Ale teraz tak, po kolei. Pani Ojciec wstąpił do wojska, a gdzie pani była wtedy?

Tatuś wstąpił do wojska w Guzarze i nas przetransportowano ponieważ tatuś wojskowym. Mieli nas przetransportować i przewieźli nas do wojskowego ośrodka, niedaleko Bochary. I ja zachorowałam na tyfus. I mama nie chciała mnie oddać do szpitala, bo to znaczy, że liczyło się ze stratą dziecka. Ale w końcu musiała. Ja już 104 temperatury Farenheita. Nakrywają, nie mogą dać rady i mama w końcu mnie zostawia w Bucharze. Już tak byłam bliska śmierci, bo pamiętam ze taki profesor, doktor Rosjan z taka biała bródka - to taka wizja - tak pamiętam przystąpił do mnie i powiedział: „*podajcie mi to, bo ta dziewczeczka umierają*” I koniec. Ja już więcej nie pamiętam. Kiedy się obudziłam, to byłam na innej sali. A koleżanki swojej z którą przyszłam, nigdy nie zobaczyłam, więc widocznie umarła. Mnie widocznie jeszcze nie było to sądzone. I ja zostałam w Bucharze i byłam 7 tygodni w szpitalu i odbiło mi się strasznie na moich rękach. Ja płakałam, nie wiem jakie to wyżywienie było, ale do picia soki takie, tam pomarańczowe, to jabłkowy, gdzie tam. Ordynarna butelka z wodą stała na podłodze i jak dostawałam, to krzyczałam z bólu. Tak mnie ręce bolały strasznie.

Każdy tyfus plamisty pozostawia coś po sobie, więc mi widocznie te ręce, ten ból w rękach. W końcu nic nie wiedziałam, nic nie myślałam. Nie wiedziałam co mam w ogóle myśleć. Tylko zaczęła przychodzić wtedy z Czerwonego Krzyża pani Bronia Skłodowska, może. I ja mówię: „*Pani Broniu*” - ja się z nią trochę skumałam z nią i mówię jej - „*Pani Broniu, ja nikogo nie mam, ja jestem sierotą*”. Ponieważ, gdyby moja - swojego nazwiska nie pamiętałam, ani mamy imienia. Ale mówię: „*mi się wydaje, że ja miałam rodzinę, ale mi się wydaje, że gdyby moja mama żyła to by mnie odwiedziła w szpitalu. Przecież ja tutaj jestem tak długo*”. A ona mnie tak ciągle pocieszała, pocieszała ciągle i przynosiła co mogła dla mnie i w końcu przychodzi do mnie i mówi, Buchara, ciągle Buchara - „*Ja mam do Ciebie wielką niespodziankę Gieniu*” - „*A co takiego?*” A mówi: „*Idź na dół, ktoś przyszedł Ciebie odwiedzić*”. Lecę co sił w nogach, a mój tatuś staje w mundurze w Bucharze. Przyjechał i ja pierwsze moje słowa po przywitaniu się - „*Tatusiu mama nie żyje*”. A on mówi i się roześmiał: „*Żyje, żyje właśnie stamtąd wracam*”. Oni też byli, oni dobrnęli do tego wojskowego ośrodka, że niby jak tatuś w wojsku, to niby te rodziny, to wtedy te rodziny były wzięte pod taką opiekę. I mówię ja stamtąd wracam, wszystko jest w porządku, ale mówi, wszystko jest w porządku, ale też byli w szpitalu, też na tyfus chorzy wszyscy i dlatego nikt Ciebie nie odwiedzał. I mówił zbieraj się, jedziemy tam. Ale ja jeszcze zostałam u tej pani Broni parę dni i pamiętam, że pani Bronia mnie karmiła cukrem, mówi, abym odzyskała energię i siły, to karmiła mnie cukrem. To dawała mi kawałki cukru, nie żeby dosłownie do każdego posiłku mi cukier dawała. Ale dawała mi cukier i mówiła: „*cukier krzepi*”. Pamiętam to, w końcu tatuś przyjechał po mnie i wziął mnie, wiozł mnie i dojechaliśmy do tego ośrodka i tam była hrabina Polubieńska, w

tym ośrodku i potem szereg innych pań i nasza rodzina, wszyscy byli po tyfusie. Moja siostra jedna, druga i mama. I wtedy tatuś odjechał z powrotem do wojska, gdzie był w Taszkencie, w przypuszczeniu w tym samym czasie, a myśmy wtedy mieli jechać za tatusiem do Krasnovodsk i transport ten z Bukhary, prowadził hrabia Plater. Wyjeżdżamy, idziemy pieszo 16 kilometrów, cała noc do najbliższej stacji kolejowej. Wyzbyliśmy się wszystkiego, bo jesteśmy wybrańcami losu, że takie szczęście nas spotkało. Więc wyjeżdżając zostawiliśmy wszystko tym, co nie mieli takiego szczęścia, co jeszcze zostawali w Rosji. I tylko na przemian z siostrą, niosłyśmy tą małą siostrzyczkę naszą sześciolletnią. Dojeżdżamy, dochodzimy do tego, tam wszyscy się już zapakowali. Hrabia Plater prowadzi tam. Dojeżdżamy tam - była to sobota przed Wielką Nocą, sobota czwartego kwietnia - szakale wyją na lewo i na prawo, a myśmy pod otwartym niebem zrobiliśmy na kocach posłanie i tak ta noc przespaliśmy.

Ilu Was wszystkich tam było?

To chyba też z 200 osób było. I był to czas, po raz pierwszy słyszałam melodie pieśni, a właśnie ta pani Polubińska nauczyła nas, młodzież – „*Pójdź do Jezusa*”. Dla mnie jest to najpiękniejsza pieśń ze wszystkich pieśni w tym śpiewniku. „*Pójdź do Jezusa, do niebios bram*”. I na drugi dzień, przygotowanie do święconego, spożywamy, dzielimy się jajkiem. Hrabia Plater wstaje i mówi: „*Kochani Polacy, spóźnił się na transport*”. Okręt czy statek odszedł, 24 godziny, musimy wracać w głąb Rosji. Rozpacz. Rozpacz niesamowita. Niektórzy ludzie popełnili samobójstwo na miejscu, nie mieli po co wracać, do kogo. Myśmy wrócili. Skłamałam swój wiek, pod namową pewnej dziewczynki, bardzo mądrej zresztą i wstąpiłam do tzw. junaczek z siostrą w Kiermynieje. Mama natomiast z najmłodszą musiała jakoś tak zostać. Wydłubałam w murze, w tym naszej szkole, naszym obozie, dziurę w murze i mamie podawałam przez ta dziurę ryż. gotowany, żeby karmiła to dziecko i sama zjadła, chociaż raz dziennie coś, ciężko było bardzo i wywieźli ich do innego ośrodka, którego nie pamiętam. Było tam bardzo ciężko, psy ginęły, koty, żywili się czym mogli, aby tylko przeżyć. Z nas przerzucono z Kiermyni do Kitabo, przepraszam nie do Kitabo, tylko do Kartikami, była szkoła, uczono nas trochę, do Kartikami przerzucono, tam był sierociniec też, byliśmy. Nie mogliśmy być tam bardzo długo tam, chociaż w tym czasie wydawało się bardzo długo, chodziłam bardzo często do kaplicy, aby zobaczyć, bo tam był drugi taki budynek, glinianka, lepianka taka, zaglądam, a tam było sześć trupów, przykrytych tylko, zawiniętych tylko prześcieradło białe i z karteczka u nogi kto. Patrzę się, a to jest jedna z moich koleżanek właśnie, właśnie ta Salata, która była razem na posiołku ze mną to jedna z tych też była. Tam zresztą strasznie umierano i niemal padano do tych ubikacji, a jakie tu ubikacje, były. Rowy wykopane, a skoro po tyfusie, czy malarii, słabe istoty, to wpadały prosto do tych rowów i już koniec. Nikt się nawet nie szukał, bo nie było co. W tym samym miejscu dogadaliśmy się przypadkowo z innym gościem Wolnym Januszem, który mieszka w Hexswill i on mówi tak, że będąc w Kartikami, on zaczyna, „*piliśmy wodę ze studni*” i on nie powiedział Kartikami piliśmy wodę ze studni, aż napotkaliśmy na trupa w tej studni. A ja mówię co? To Ty chyba byłeś tam, gdzie ja. Bo myśmy też to samo, że piliśmy tak długo, aż się dopiero odkryliśmy trupa w tej studni, a ja mówię, gdzie Ty byłeś. W Kartikami, ja też. Ale on był w sierocińcu, on był młodszy, więc ja niby już w szkole byłam w tym samym czasie. Więc takie przypadki, z Kartikami przerzucono nas do Kitabo, miejsce było Kitabi, przepięknie położone i tam mieliśmy już trochę opieki wojskowej więcej, bo nawet pamiętam, że dostałam trochę po czterech literach, ponieważ poszłam nad rzekę i kupowałam winogrona za ostatnie pieniądze, a nam nie wolno to było robić. Dopadł mnie porucznik taki X, polski i mnie trochę zbił. Nie wolno nam surowych owoców, a się chciało. Nie to, że jak teraz ja pomyśle z perspektywy czasu, bardzo dobrze robili, bo nas ochraniali przed następstwami tego, przed chorobami. Ale znowuż wyjazd. Tam był generał Anders przyjechał do tego Kitabi. Było to bardzo, bardzo wielki dzień dla nas wszystkich zobaczyć generała Andersa. Te nasze władze pytają się co mamy zrobić, bo była jedna dziewczynka chora na spinaczkę, a on tylko krzyczał, wszystkich zabierać. Wszystkich zabierać, nawet gdyby na noszach, to wszystkich zabierać do wagonu i odjeżdżać, odjeżdżać i rzeczywiście myśmy odjechali, z tym, że ja nie wiedziałam, że moja mama z

tą maleńką odjechała wcześniej już. Jakoś miała kłopoty potem trochę, ale pewna z pań, która widziała tatusia na urlopie wtedy, jak przyszedł do szpitala i poświadczyła, że mama ma wojskowego, że mąż jest w Armii Polskiej, znaczy się, bo mama nie miała żadnych papierów przy sobie. Ale wyjechała trochę przed nami i myśmy znowu przez Morze Kaspijskie, tak jak sardynki, straszna to była przeprawa, Morze Kaspijskie nie jest takie ogromne przecież, a nie wiem jak długo jechaliśmy przez to Morze Kaspijskie. I w końcu dostaliśmy się na drugą stronę, zrewidowano nas, zabrano nam wszystko, wszystkie pieniądze, wszystkie jakieś pisma, ja nie wiem chyba bali się, że czy my coś nie piszemy, wywieziemy za granicę, o nich o sowietach, ale nas dosyć rewidowano w Krasnovodsku, po raz drugi. I przyjechaliśmy do Persji. W Persji, wrażenia nie z tej ziemi, nie z tej ziemi. Wieziono nas ciężarówkami odkrytymi, a Persowie rzucali owoce, pomarańcze, banany. Fruwały w powietrzu, a myśmy się cieszyli szczęściem i swobodą i wolnością. To niezapomniany dla mnie dzień był. No i pachole jak szkielety, malaria, wszystko wychłodzone strasznie, bo ja w Kitabi dostałam malarii i przywiozłam ją z zagranicy do Persji. Wychłodzona niesamowita. Siostra moja, mamusia moja spotkałam mamę i tatusia. Tatuś przyjechał na urlop do Teheranu, jest wspólne zdjęcie wszyscy jesteśmy razem. Niedługo był i pojechał do Iraku. I siostrzyczka była bardzo wychudzona, miała powiększone gruczoły i tyfus zostawił jej skazę na słuch, na uszy. Nie słyszała, ciągle mnie odwiedzała w tym budynku, gdzie nasza szkoła się mieściła, tam mieli pretensje do mnie, że nie powinna tutaj przychodzić. Ja jej nic nie mówiłam i tam było rozmieszczenie po wszystkich obozach, Właściwie dużo pojechało z Teheranu, z tych bloków dużo pojechało do Nazaretu. Mnie namawiano bardzo, ale może mnie tym wiekiem, byłam trochę za młoda, namawiano do szkoły wojskowej w Nazarecie. Chłopcy natomiast do Barbary. Odjechali w Palestynie, dużo odjechali do Nowej Zelandii, dużo pojechało do Indii, jeden rzucono też na Meksyk. Ameryka natomiast nie przyjęła nikogo, bo w tym czasie bala się, że straci wielkiego przyjaciela Józefa Stalina.

Co się stało z mamą?

Mama została w Teheranie, ponieważ siostra jednak niedomagała ta najmłodsza, a nas. Z kolei z siostra zabierano do szkoły do Isfahanu, starej stolicy Persji, taki był jeden do Afryki, drugi do Indii z kolei. Tak jak mówili, że to sieroty są, ale myśmy też do tego transportu, myśmy też trafili z siostra do Isfahanu, mama natomiast z powodu choroby siostry została w Teheranie. Siostra natomiast musiała być oddana do szpitala i znowuż moment tragiczny dla mnie, strasznie mnie kochała, ja ją też. I jeden autobus, można powiedzieć odkryte to wszystko, samochody jeden w jedna, drugi w druga stronę i rozpacz niesamowita, krzyk, lament, płacz, bo ona krzyczy za mną "ratuj mnie" a ja muszę odjechać w drugim kierunku, bo to już do Isfahanu. No i z kolei niedługo trwało, mama została w Teheranie. Jadzia umarła i jest pochowana na cmentarzu w Teheranie. I z kolei dowiedziałam się potem już, przez Nową Zelandię, bo my utrzymujemy ciągle pisemko między Isfahańczykanu, pismo „My”. Raz redaguje Afryka, drugi raz Nowa Zelandia, trzeci raz Anglia, Stany Zjednoczone i tak dalej. Wtedy z Nowej Zelandii doszły do mnie wiadomości, że pewna pani wyjechała do Teheranu, nie Polka, ale miała przyjaciółkę Polkę w Nowej Zelandii i pyta się - co ja Ci mogę zrobić. Ja jadę w to miejsce, gdzie Ty spędziłaś swoją młodość. A ona mówi, co ty możesz dla mnie zrobić. Chyba nic. A potem pomyślała, mówi mojego męża braciszek jest pochowany w Teheranie, postaraj się znaleźć jego grób. I ta znalazła, po wielkich tarapatach. Od taksówki do taksówki, od pytania, do pytania, biura wszystkie tego. Znalazła cmentarz i sekcję polską. To było publiczne napisane z Nowej Zelandii, że jest w jaki najlepszym porządku polska sekcja. Persowie mają wielki respekt i sympatie do Polski i Polaków. I nawet gość, który się tym cmentarzem opiekuje, to tak jakby był Polak. Bo ona rozmawiała z nim dosyć długo i wszystko jest należyty porządek i stan.

Tak, ale proszę Pani, jaki najgorszy okres w Rosji pani pamięta?

„Nie poniemaju zostali w obalci”. Najgorszy okres, może ten najgorszy rzeczywiście był okres,

kiedy miałam ta kurzą ślepotę. Głupota się trzymała, młodzież – „*Chodź z nami, pójdziemy tam jakieś babce jakieś podokuczamy*”. Strasznie dokuczaliśmy tej wdowie, czy mąż był w Polsce i ponieważ ja wyzywali różnymi wyzwiskami te dziewczuszki. To ta babka złapała pomyje i lunęła i one uciekły. A na mnie wylądowało wszystko w twarz i to jest dla mnie, jako takiej młodej istoty to było bardzo tragiczny dzień. Na tym powiedziałam, że z wami nigdy więcej nie chodzę. Poza tym jaki jeszcze?

Może nie dzień, ale najgorszy okres.

Okres, chyba ten Kartikami był bardzo ciężki, no i ta choroba moja, gdzie bez celu, bez żadnej przyszłości, zostałam sama, a ciągle miałam tylko 13 lat. I jeszcze gorsze to, że nie pamiętałam nazwiska ani imienia swojego, ale potem mi to wróciło. Nie tak bardzo, teraz jeszcze szwankuje, ale mnie wróciło, przypominałam sobie nazwisko i imię. Wiec to był okres bardzo ciężki dla mnie. Potem jak już wstąpiłam do tych Junaczek, to było już coraz lepiej, jednak. Chociaż nasz karmiono i człowiek nie walczył o kromkę chleba.

Proszę pani, Rosjanie mieli taki zwyczaj, że przed wyjazdem jeszcze wszystkich niby lekarzy lekarzy, ale to żaden lekarz, tylko wojskowi sprawdzali, że nikt który był chory, nie mógł wyjechać z Rosji z rodzin wojskowych. Czy Pani też przez to przeszła? Tuż przed wyjazdem.

Tak rozumiem, tuż przed Krasnovodskiem, przed Morzem Kaspijskim.

Była tzw. plaża, szczególnie właśnie, znaczy się przede wszystkim dla rodzin i dla małych, młodszych dzieci, wszystkie były albo oglądane, albo badane, bo Rosjanie bali się, żeby poszło w świat, że oni głodzą. Wiec wiele osób wstrzymano.

No wie pan, to chyba wiele osób wstrzymano i z kolei nas nie wstrzymano i ze puszczano moja siostrę.

Jak ten sam moment, wszyscy wsiadaliście na statek i przez Morze Kaspijskie. Czy było sprawdzanie jakiś dokumentów, list?

Ja nie wiem, jak było u mamy, przypuszczalnie też, pewna pani musiała poświadczyć, że tatuś był na urlopie, żeby był wojskowy, że to jest małżeństwo.

Ale jak Pani wyjechała z siostrą?

Ja już byłam z organizacją, ja już byłam z Junakami. Tu nas nikt nie patrzył, nie sprawdzano, tylko liczono chyba jak bydło. Ja już inaczej wjeżdżałam. Bo to, tylko organizacja tych Junaków, te Junaczki, to powstała tylko dlatego, żeby jak najwięcej wywieźć mundurów angielskich z Rosji Sowieckiej, bo przecież ja zawiązywałam swoje spodnie na szyi, potem jeszcze jakaś rubacha tego, bardzo ogromne to wszystko było, ale starali się jak najwięcej przewieźć. I to musieli od nas zabrać w Pahlavi, musieli od nas. Ja sobie nie przypominam tego, bo my już więcej nie chodzili. Wiec musieli od nas to zabrać, jak przejechaliśmy Morze Kaspijskie. Te wszystkie mundury i dano przypuszczalnie komu innemu. Komu bardzo pasowało.

No, albo wyrzucili, bo ten.

Spalili.

Tak, bo to mogło być z wszami, z pchałam. Z wszystkimi

To prawda, z wszami ... O jeszcze cofne, tragiczny moment. bardzo dobrze, za pan powiedział, Teheran. Nie Teheran, przepraszam, Taszkient. Taszkient Wyskoczyłam tak jak wszyscy za własną potrzebą i ruszył pociąg, a ja zostaje, ja sama. Jakoś wszyscy zdążyli wskoczyć, ja nie zdążyłam. Wskakuje na tą platformę co za nami jest. I tylko byłam w sukience z krótkimi rękawami i mamy jakieś pantofle złapałam, bez pończoch, bez bielizny, na pewno, bez majtek, w ogóle tak. Jak nigdy ten pociąg jechał 70 kilometrów na godzinie i się nie zatrzymywał, a tak rzuca śnieg, grad, lód na mnie, ja już się. Ja już się nie, jakaś taka dyktowała mnie logika boska chyba i żeby nie siadała. Bo gdybym siadła, to już bym usiadła. To już bym nie wróciła. Ale ja chodziłam, rozcierałam ręce, nogi, chodziłam po tej platformie, a z stamtąd chodzili, wyglądali, otwierali te drzwi, czy ja jeszcze się ruszam tam. Może zobaczą mnie. Jak już stanął, po 70 kilometrach, to już ja nie mogłam wejść i mnie wciągnięto. I żyje proszę pana i dzisiaj żyję, jeszcze żyję. Wciągnięto mnie jak karcz jakiś do wagonu. Nie mogłam sama wejść.

Jak pani dzisiaj ocenia tamte lata z perspektywy 50 lat?

Smutne i tylko modle się i proszę Boga, żeby historia się nie powtórzyła. Żeby nie było 1 września czy 17 września, żeby jakoś doszło do jakiego porozumienia międzynarodowego i nastały inne czasy, lepsze, łatwiejsze.

Pani, dziękujemy pani ...

Siły, cześć im i chwała. Siły profesorskie, ja nie wiem skąd przyszło to wszystko. Momentalnie się zorganizowała w Isfahanie, powstało od razu siódma klasa, bo nie mogło być młodszych w zakładzie numer 6. Więc zorganizowano 7 klasę tylko i zorganizowano pierwszą gimnazjalną, druga, trzecią, czwartą. I to tak szybko, tak szybko nie wiem skąd. Były te książki przesłane, te pomoce naukowe. Nie mam pojęcia, tak dogodnie było. Na śniadania dostawaliśmy ziemniaczek z miodem. Ale kto tam dbał, trochę było kłótni o to jedzenie, początkowo. Ale potem nam zupełnie było dużo lepiej i znaczy się z wyżywieniem i ze szkołą i z nauką i zostaliśmy w Isfahan, aż do małej matury. Mała matura była urządzona z wielką pompą. Zdawanie małej matury i wyjazd do Libanu. Zapoznanie było nawet trochę z Persami. Pers taki adoptowany syn, książę Persji, w okolicach Isfahanu, zapraszał nas do swojego zamku pięknego, odwiedzaliśmy kilka pięknych willi, przepięknie urządzonych. Jak się szło to były szare mury, ale jak się otworzyło tą bramę, to przepiękne były ogrody i w ogóle warto było co zobaczyć. Nasza pani kierowniczka Krzyżanowska, zabierała nas na wycieczki rowerowe, różne organizowała i przemiła pani dożyła sędziwego wieku i zmarła w Tęczynku. Wszyscy ją pamiętaliśmy i odwiedzaliśmy podczas wizyty w Polsce. I wyjazd do Libanu, była to przyjemna podróż. Rozmieszczono nas znaczy się po mieszkaniach już prywatnych, z tym że mama dostawała pieniądze i na nas też. Po 18 funtów szterlingów miesięcznie bodajże jeszcze pamiętam. To myśmy żyli dobrze, trzy dorosłe osoby. Bo już siostry nie było, a brat, o bracie jeszcze nic nie wspomniałam jeszcze, przecież, że został. Przeżyliśmy to bardzo, przepiękny, malowniczy to kraj. I bardzo serdecznie i mile usposobiony do nas. Mieliśmy księdza Tomasika, opiekuna duchowego, znaczy się naszego ośrodka, ale jeszcze przejdę, jeszcze wrócę, że jednak ufundowaliśmy, to jeszcze może kto wie, może ktoś kiedyś znajdzie się w Isfahan, w dzielnicy Dżulfa, gdzie w kościółku naszym jest ufundowana tablica, że przeszli tamtędy Polacy, w języku polskim jest ufundowana piękna tablica, w kościele nad Dżulfie. Po latach może kto odwiedzi tą dzielnicę. I tutaj też kościół był, uczęszczaliśmy do kościoła marianickiego. Był obok zaraz klasztor sióstr szarytek, była też tam siostra Władysława, Polka, z Polski i dobrze się nam powodziło. Mieszkaliśmy nad samym Morzem Śródziemnym. Mikael był tak położony malowniczo, był szereg innych ośrodków, jak Bagdad, Rumii, Gazir, gdzie nasz Słowacki napisał siedzą na kamieniu. Ile razy się tam było, ile razy się pytało Arabów i tamtejszych Libańczyków, to ten Słowacki siedział na innym kamieniu. I pisał o ojcach zdumionych i coś tego. No i tego, przeszliśmy przez Liban, duża matura i niektórzy wyjechali. Właśnie ja, byłam wojskowa, więc wyjechaliśmy w 1947, zaraz po maturze wyjechaliśmy do Anglii. Wyjechaliśmy do

Anglii, i w międzyczasie tatuś z Włoch, postarał się przez Czerwony Krzyż i odnalazł brata Stanisława Dubickiego, który był w Bawarii, w obozie pracy. Był z ciotka, babcia, przeszedł straszne dzieje, straszne. Na jego własnych oczach, podpalono dom, którym się żywcem spalił jego kuzyn i on był świadkiem. Dziewięć, dziesięć-letni chłopak. Partyzanci. I spalili go, on tam, on może nie chce o tym już za bardzo mówić.

Jacy partyzanci?

Partyzanci.

Rosyjscy, niemieccy?

Chyba rosyjscy partyzanci, spalili ten dom. A oni chłopcy grali w karty, młodzi chłopcy i wszystko podpalili, spalili. On widział trupy, przystępował, dalej szedł i jako młody chłopak okropnie przeszedł. Ja się z nim spotkałam w Littleford w Anglii - na zdrowie - kiedy już przyjechaliśmy do Anglii, to zaraz poszłam z tatusem do tej szkoły, do której on uczęszczał i dzięki tej szkole dzisiaj ma dobry zawód, ma własny interes. Jest spawaczem gazowym i elektrycznym. Otworzył sobie taki zakład i można powiedzieć, że prawie jest milionerem. Piękny dom, piękne samochody. Tu już jest, przyjechaliśmy do Ameryki my pierwsi, potem za mną przyjechała zaraz moja siostra. I przyjechał potem brat z mamą. Brat z mamą z kolei został też w Anglii, ponieważ tatuś był umierający, chory na raka i tatuś zmarł w 1952 roku, w marcu. My przyjechaliśmy w lutym 1952 roku z mężem. My się pobraliśmy z mężem już w Anglii i przyjechaliśmy tutaj. A tatuś zmarł w marcu 24 marca 1952 roku. I jest pochowany w pierwszym polskim szpitalu, niedaleko w Pendley w Rixham, Chester także. W zeszłym roku, rok temu, dwa lata temu, odwiedziliśmy grób tatusia, ja odnowiłam pięknie i jest pochowany w Anglii. Siostra jest pochowana w Teheranie, tatuś jest w Anglii pochowany. Mama niestety tutaj w Westbridge. mam była przy mnie przez cały czas. Nie to, że przy mnie, ale dosyć długo była przy mnie, ale potem wyszła drugi raz za męża, ale mieszkała niedaleko bardzo blisko mnie.

To dziękuje jeszcze bardzo raz.